

# SCHRONISKO

Farma Patryka to było miejsce prześlicznie urocze. Każdy drobiazg odzwierciedlał duszę gospodarza, co sprawiało wrażenie, że martwe sprzęty żyły swoim własnym życiem. Było to nie opodal szosy dwadzieścia akrów płaskiej jak stół łąki, pośrodku której stał mały domek typu australiana - podłużny, murowany z jasnobrązowej cegły, z wspartym na frontowej długości drewnianymi białymi słupkami krużgankiem. Wiosną i latem zadaszenie chroniło okna przed słońcem; można było siedzieć w cieniu przy żelaznym okrągłym stoliku i popijając kawę z filigranowych filiżanek przyglądać się wieżowcom w City bądź pędzącym na pobliskiej szosie samochodom. Na łące pasły się konie sąsiada, pośród traw hasały dzikie króliki, za którymi harcowały wyżyły Łajka i Borys. Zimą i jesienią krużganek dawał schronienie przed deszczem, który często lał się z nieba przez dwa-trzy tygodnie bez przerwy, nasycając powietrze wilgocią i chłodem.

Do domu prowadziła od szosy utwardzona ceglany kruszcem alejka, którą po obu stronach wytyczały posadzone w równych odstępach dziesięcioletnie świerki. Na jej końcu znajdowała się brama: dwa wbite w ziemię pale, połączone u góry szeroką surową deską. Na desce widniało wypalone słowo: „Stanica”, które dla przyjaciół miało wielorakie znaczenie, ale i miejscowym Australijczykom nie było obce; gdyby zaadresować kopertę: Stanica, Little Creek, Melbourne - listonosz nie miałby wątpliwości. Nazwę tę wymyślił Patryk od swego nazwiska Staniszewski, co może nie było szczególnie precyzyjne, lecz oddawało charakter miejsca. Była to w istocie prawdziwa stanica, do której zjeżdżali się ludzie ze wszystkich stron miasta - w większości Polacy, lecz także Australijczycy, jeden bodajże Macedończyk, dwoje Maltańczyków, Szkotka, Francuz i pewien czarnoskóry chłopiec z Somalii, którego niektórzy przezywali Bambo, inni zaś Bambus. Bywało, że w sobotnie noce parkowało wokół obejścia kilkanaście samochodów, a ich właściciele wraz z żonami i dziećmi spali pokotem na podłodze po wszystkich pokojach, w fotelach, na kanapkach i czasem także w wannie. W Stanicy bowiem nie zamykały się drzwi, tak podczas weekendów, jak i w dniu powszednie; dom ten, tyle z racji unikalnego położenia, z dala od miejskiego zgiełku, co bezgranicznej gościnności Patryka, był domem nieomal publicznym.

Chrzęst samochodowych opon na kruszcu alejki rozbudził we mnie cały ogrom sympatii, jaką darzyłem Patryka, a która podczas tej rocznej rozłąki zdołała nieco przygasnąć. Zbliżając się trzymałem dłoń na klaksonie, wystukując z namaszczeniem, jak czyniłem to wiele razy w przeszłości, wszystkim bywalcom dobrze znany hejnał Stanicy. Patryk pojawił się na progu dwuskrzydłowych, oszklonych drzwi prowadzących z pokoju gościnnego na krużganek, i witał nas jak papież swym tajemniczym półuśmiechem i jednostajnym, poziomym ruchem ręki z lewa na prawo i z powrotem.

Był on niewysokiego wzrostu i wyjątkowo szczupły, czaszkę miał przy tym łysą aż za uszy, na nosie czarne ciężkie okulary i oprócz wąsów teraz także krótką rudo-siwą brodę. Przyjaciele żartowali czasem, że jest postury wyścigowego indyka, którego źli ludzie podłączyli do prądu. Na konkursie piękności zająłby pewnie ostatnie miejsce, ale kto od

mężczyzny wymaga piękności? Patryk był chodzącym mózgiem, typem naukowca bądź artysty, dla którego wygląd zewnętrzny, owszem, miał znaczenie, ale właśnie takie, by podkreślać osobliwość charakteru, nie zaś, jak zwykł mawiać, z człowieka robić kukłę.

Tracy widząc go szeptem wezwała na pomoc Boga.

- Tai Shi! - zakrzyknął obnażając równe zęby, gdy wysiedliśmy z auta. - Nie masz pojęcia, jak wielką sprawia mi przyjemność, że mogę gościć przyjaciółkę mojego przyjaciela.

Zbliżył się do niej i obejmując ramionami ucałował gorąco w oba policzki, klując zapewne szczeciniastym zarostem. Tracy, nie przyzwyczajona do tak wielkiej zażyłości osób nie tylko obcych, lecz także najbliższych, albowiem w Chinach ludzie publicznie się nie całują, drgnęła próbując się odsunąć.

- Jakubie, i ciebie witam serdecznie - uwiesiliśmy się sobie w ramionach. - Jak ty, chłopie, wyszczupłałeś? Przyznaj się, brakowało ci polskiej kuchni na tym tam ryżowisku. Dobrze, dobrze, że jesteście. Wejźmy, proszę, do domu - uklonił się Tracy i pełnym gracji i uprzejmości gestem dłoni wskazał drogę.

Stałem w progu i odchyliłem ponad głowę Tracy ciężką purpurową kotarę. Weszła do środka uprzedzając mnie o pół kroku, lecz chwilę później krzyknęła tak przeraźliwie, jakby zobaczyła diabła, po czym jednym susem wyskoczyła na zewnątrz i skryła się za moimi plecami.

- Ależ co się stało? Co się stało, moja droga? - wykrztusił Patryk.

Zajrzałem do pokoju. Na sofie tuż przy drzwiach siedział Artur, liżąc zapamiętałe i z wyraźną rozkoszą zadartą ponad głowę nogę. Zupełnie zapomniałem uprzedzić o nim Tracy.

- Tracy nie lubi kotów - wyjaśniłem.

- Przepraszam, Tai Shi, przepraszam najmocniej. Artur! Chodźże tu, gadzie niemiły, bo gości mi straszysz i wstyd przynosisz - wszedł Patryk do środka i wziął kota na ręce. - Psów, czy psów też nie lubisz? - zapytał ostrożnie, skrywając uśmiech, po czym pośpiesznie uzupełnił: - Zamknąłem je zawczasu na podwórzu, ale o kocie naprawdę nie pomyślałem. Tracy uśmiechnęła się wstydliwie, jak zawsze w takich razach chciała coś odpowiedzieć, lecz powstrzymała się.

Patryk oddalił się w głąb domu, wynosząc Artura. Stanęliśmy pośrodku pokoju. Było to pomieszczenie nieduże, typowy jak na australijskie domy living room, z łukowym przejściem do małej jadalni z jednej strony i drzwiami do przedpokoju z drugiej. Jednak niespotykany wystrój tworzył zgoła nieaustralijską atmosferę. Wystarczyłaby odrobina wyobraźni, by poczuć się jak w starym zamczysku, w komnacie pałacu bądź przynajmniej w izbie szlacheckiego dworku. Podłoga wyłożona była kamiennymi płytami o nierównych kształtach, płaszczyznach i krawędziach, ściany wyścielone aksamitną tapetą koloru ciemnego różu, na których wisiało z tuzin obrazów w starych złożonych ramach i gobelin przedstawiający Biblijną scenę. Oprócz ciężkiej masywnej sofy były tu dwa fotele, równie ciężka ława z nieoheblowanego drewna, perski dywan, miejscami przetarty, zbite z desek regały, które uginały się pod ciężarem książek, jak również stare pianino, na którym leżały w nieładzie zeszyty z nutami. Były tutaj także telefon i telewizor - łączniki z nowoczesnym światem: pierwszy ebonitowy, czarnego koloru, o słuchawce ciężkiej jak kamień; drugi zaś - równie archaiczny, jeden z tych, których nie było w sprzedaży już bodaj od trzydziestu lat, lecz ciągle sprawny, nawet kolorowy; Patryk uruchamiał go zwykle po to, by obejrzeć wieczorne wiadomości lub jakiś szczególnie interesujący program przyrodniczy, ekologiczny czy też o sztuce malarskiej, rzeźbie bądź muzyce klasycznej.

Widziałem rozmaite domy chińskie, więc bez trudu mogłem zrozumieć zdziwienie, jakie wymalowało się w oczach Tracy. Ona zaś zobaczywszy dwa polskie domy na Gold Coast, które wcześniej odwiedziliśmy, musiała przyznać, że dom Patryka - ten przynajmniej pokój - był tak odległy od owych polskich jak one od chińskich: obcy. Nic też dziwnego, że pośród wszystkich zgromadzonych przedmiotów jej uwagę zwróciła wisząca w samym rogu na ścianie płócienna makata, z wymalowanym czarnym atramentem chińskim motywem górskiej przyrody.

- Ting Chong Qi Xi - przeczytała podpis akurat w chwili, gdy wrócił Patryk.

- Co to znaczy? - spytałem.

- Człowiek odpoczywający w schronisku.

- To niesamowite! - ucieszył się Patryk. - Mam tę grafikę od sześciu chyba lat, ale do głowy mi nie przyszło, by się dowiedzieć, co oznacza podpis. Dziękuję, Tai Shi, dziękuję. Lecz gdzie tu jest człowiek, gdzie schronisko?

Podeszli we dwoje do płótna i, jak na malarskiej ekspozycji, przypatrywali się z bliska szczegółom.

- Właściwie podpis ten ma podwójne znaczenie. Może to być schronisko dla ludzi lub ptasie gniazdo.

- Tak, tak, zapewne jest to jakaś wizja - zastanowił się Patryk.

Przeszedłem przez jadalnię do kuchni. Kuchni tej nie powstydziliby się niejedna kobieta. Widać tu było całą duszę Patryka i jego kulinarne zamiłowania: na drągu pod sufitem wisiały garnki, rondle, patelnie, ponad oknem nad zlewozmywakiem główki czosnku i cebuli, na parapecie, ustawione jak wojsko, stały słoiczki z przyprawami.

W Stanicy goście nie pytali o pozwolenie lub zgodę, więc napełniłem wodą żeliwny czajnik i ustawiłem go na gazowym palniku. Puszka po herbatnikach służąca za pojemnik na kawę i srebrna cukiernica ze srebrną łyżeczką stały na kredensie w tym samym miejscu, w którym widziałem je ostatnim razem.

- Napijecie się kawy? - krzyknąłem.

- Tak, tak, proszę bardzo! - Patryk odkrzyknął z pokoju. Tracy wspomniała o kawie jeszcze w samochodzie. Wyjąłem z szafy trzy filiżanki.

Za oknem wariowały wyżły, które musiały wyczuć moją obecność w kuchni. Wyszedłem na zewnątrz tylnymi drzwiami i zaraz mnie otoczyły, prześcigając się w skokach, rzucając się łapami na moje piersi, merdając kikutami ogonów, a gdy przykucnąłem - śliniąc mi twarz i ręce.

Borys miał cztery lata, Łajkę zaś, jako szczenię, kupił Patryk przed dwoma laty, po rozwodzie z Wiesławą, twierdząc, że będzie miał z sukki pożytek większy, niż przez dwadzieścia lat miał z żony. Zresztą, sukę kupił na złość Wiesławie właśnie, która suk nie znosiła; chciał w ten sposób zemścić się zaocznie i jednocześnie przypieczętować swoją absolutną w domu władzę.

Bawiąc się z psami przeszedłem na skraj domu. Po małym podwórzu spacerowały dwie kury. Były to kury nienormalne. Przyzwyczajone do zabaw z wyżłami i do ludzkiej obecności, zachowywały się jak szczenięta: można je było pogłaskać po główkach, jadły z ręki, niewiele brakowało, by wyćwiczyły się także w aportowaniu patyków w zębach albo by się uśmiechały. Małgorzata miała wygryzione na szyi pióra, ale niewiele sobie z tego robiła - z Borysem jeszcze żadna kura nie wygrała. Renata z kolei zachowywała się jak idiotka; to dla niej ustawił Patryk wielkie lustro pod ścianą, które zostało mu, jak mówił, po Wiesławie.

W rogu podwórza znajdował się stawek, w którym pływały złote rybki. O tym stawie opowiadano długie historie, albowiem nie był to stawek, oczywiście, normalny. Pewnego dnia, gdy odwiedziłem Patryka i Wiesławę, w stawie rybek nie było. Rybki powyjadał Tadeusz, którego poprzedniego dnia przywiózł Patryk od znajomych - pelikan. Nazajutrz Tadeusza niechcący zagryzł Borys. Wiesława doznała ataku hysterii, krzycząc na Patryka, że nigdy do niczego nie dojdzie, jeśli będzie wydawał pieniądze na swój kretyński zwierzyńiec i jeszcze z podwórza robił cmentarz. Borys poczuł się niedobrze i zwymiotował w krzakach obok budy Małgorzaty i Renaty.

- Nie jedz tego! - krzyczała Wiesława do Renaty.

Patryk pojechał na market do Laverton i przywiózł nową kolekcję welonów i mieczyków. Dla bezpieczeństwa rozciągnął nad wodą siatkę o drobnych oczkach, ale i to nie pomogło, bo parę tygodni później rybki się podusiły, ponieważ tym razem wsiąkła woda.

Wiesława powtórzyła awanturę, Patryk położył na dnie plastikową folię, napełnił staw od nowa i wpuścił dwa karpie twierdząc, że się sparzą i będzie ich gromada w sam raz na święta. Wiesława zaklinała się, że za żadne pieniądze nie weźmie ich do ust, gdyż zjedanie zwierząt domowych czyni z człowieka ludożercę. Karpie się nie sparzyły i wkrótce umarły - ludzie w mieście mówili, że pewno na gruźlicę.

Teraz miał Patryk pełny staw złotych rybek, rozciągniętą nad stawem siatkę, folię na dnie oraz Tadeusza wypchanego trocinami, który jak strach na wróble stał w metalowej klatce, niczym bocian na jednej nodze, pośrodku na kamieniu. Nogę drugą odgryzł oczywiście Borys i tak poszarpał, że nie dało się jej skleić.

Wróciłem do domu.

- W City jest chińskie muzeum, gdzie znajduje się wystawa obrazów Christine Chong - mówił Patryk, wciąż stojąc przed makatą. - Pamiętam dokładny adres, bo właśnie wczoraj zawiozłem tam klienta: 28 Cohen Street.

- Zapamiętam. Cohen, tak jak ten bard. Dwadzieścia osiem to moja kobieca tajemnica.

- Niesamowite, znasz Cohena?

- Śpiewa, jakby rzuciła go dziewczyna, ale bardzo go lubię. Właśnie za to.

- Słyszałeś, Jakubie? Tai Shi jest fanką Leonarda Cohena - zakrzyknął. - Nie sądziłem, że jest on znany także w Chinach. To, co się o Chinach czyta, o ich izolacji od świata...

Niesamowite. A malarstwo? Czy znane jest w Chinach nasze malarstwo? Na przykład Vincent Van Gogh?

Wniosłem do pokoju kawę na drewnianej podhalańskiej tacy. Usiedliśmy przy ławie. Zapowiadała się długa rozmowa, gdyż Van Gogh był ulubionym malarzem Patryka. Mógł mówić o nim całymi godzinami, ba, sam próbował malować wzorując się często na Van Goghu. Namalował kopię autoportretu Vincenta, podpisując ją imieniem Patryk. Ucha jednak nie odciął, choć pewnego wieczoru, gdy po kolejnej awanturze z Wiesławą wypił zbyt dużo alkoholu, był już bardzo bliski.

Wiesława naigrawała się z jego artystycznych aspiracji, twierdząc w obecności gości, że Patryk nawet krowy nie umie namalować, a nosi się jak Picasso. Był pijany. Wściekł się jak pijany i ku zdumieniu wszystkich potłukł młotkiem swoje okulary, aby więcej, jak krzyczał, ani na żonę, ani na obrazy Picasso nie patrzeć.

- Potłucz jeszcze zęby! No, wyjmij te swoje szuflady! - śmiała się Wiesława. - Zeby się zemścić, żeby zonie życie obrzydzić, żeby się wreszcie odcepiła od malaza!

W istocie sprawa z Van Goghem nie była prosta. Patryk był niewątpliwie utalentowany; wiele polskich domów zdobiły obrazy namalowane jego ręką, czasem kopie Van Gogha i Picasso, czasem własne próby. W Klubie Orła Białego zdobił główną salę ogromny portret papieża, wykonany z werystyczną precyzją na wzór fotografii. Kto widział choćby ten jeden portret, nie mógł wątpić w najprawdziwszy talent Patryka, w jego wprawną rękę i wszechwidzące oczy artysty.

Wątpił jednak sam Patryk, wątpił, gdyż był ambitny, wątpił, gdyż nie umiał dorównać geniuszowi Vinceta Van Gogha. Swoje kopie nazywał prymitywnym rzemiosłem, własne malarstwo - pacykarstwem bez wyrazu. Van Gogh inspirował go i uwrażliwiał, lecz jednocześnie hamował swą niedościgłą ekspresją. Kto nie maluje jak Van Gogh, nie powinien malować wcale! - było to jego destrukcyjne credo, z którym zmagął się od lat, które odbierało mu radość tworzenia i które, zwłaszcza od czasu, gdy wyjechał z Polski i nabrał, jak wielu z nas, dystansu do siebie samego, wpędzało go coraz głębiej i coraz bardziej nieodwracalnie w tę ohydłą niewiarę w własne możliwości, w kalectwo uniwersalnej świadomości, zranionej kompleksem niższości.

- Tak, odciął sobie ucho i namalował to arcydzieło - Patryk wskazał kopię autoportretu. - To była jego absolutna wolność, godna autentycznego podziwu.

- Fuj! - jęknęła Tracy. - To wyjątkowo obrzydliwe.

- Chodź, pokażę ci coś! - poderwał się z fotela i wąskim korytarzem poprowadził Tracy na zaplecze domu. Podążyłem za nimi.

Zatrzymaliśmy się na progu jednej z trzech sypialni, w której znajdowało się dziecięce łóżko, biurko i sztaluga. Był to pokój Thomasa, ośmioletniego syna Wiesławy i Patryka. W rogu stały na podłodze, oparte o ścianę, białe płótna w surowych ramach. Na biurku i półce sztalugi leżały pędzle i tubki z farbą. Farba na palecie dawno zdążyła już wyschnąć i popękać.

- To moja pracownia!

- Wiem, że malujesz. Mówił mi Jacob - odpowiedziała Tracy.

Patryk spojrział na mnie, jak gdyby chciał wywnioskować, co powiedziałem. Uśmiechnąłem się przyjaźnie.

- Zazdroszczę ci - ciągnęła Tracy. - Zazdroszczę ludziom, których Bóg obdarzył zdolnościami. Ja, niestety, nie mam żadnych.

- Ostatnio nie miałem zbyt wiele czasu - Patryk posmutniał. - Dzieci, gotowanie, pranie, taksówka... Myślałem nawet kiedyś o pomocy domowej, ale prawda jest taka, że po prostu nie stać mnie na ten luksus. Sprzątacze trzeba zapłacić pięćdziesiąt dolarów, ja za pięćdziesiąt dolarów muszę jeździć pół nocy. Co zrobić, co zrobić...

- Tracy, nie masz jakiejś koleżanki w Szanghaju?

- Nie, nie. To nie dla mnie. Za stary już jestem na te figle - Patryk uśmiechnął się niewesoło. Wróciliśmy do pokoju gościnnego.

- Zostaniecie na obiedzie? Mam flaczki i bigos. Roxana powinna niedługo wrócić. A właściwie, na długo przyjechaliście do Melbourne?

- Tracy ma wizę tylko na trzy miesiące - wyjaśniłem. - Nie wiadomo, jak to będzie.

- W tym kraju krzywda jej się nie stanie. Ten kraj ma jeszcze jakieś ludzkie oblicze. Załatw jej pobyt stały, jako uchodźcy politycznemu. Zresztą możecie wziąć ślub... - urwał w pół zdania, po czym zapytał: - Byliście na Gold Coast?

Skinąłem głową. Tracy poruszyła się niecierpliwie.

- Skorzystam z toalety - rzuciła szybko.

- Oczywiście! Bardzo proszę - Patryk zaprowadził ją tym samym korytarzem. - Kran z

ciepłą wodą nie działa. Zepsuł się akurat - instruował.

Kran z ciepłą wodą nie działał także przed rokiem. Ani dwa lata temu. Ani trzy.

- Podziwiam cię - powiedział po raz pierwszy po polsku - w jaki sposób organizujesz sobie życie. Tyle przygód, bloody hell... Co na to wszystko Tai Shi?

- Na razie żyje jak w bajce. Wiesz, jak to jest na początku.

- Macie jakieś plany?

- Jesteśmy praktycznie bez pieniędzy. Muszę znaleźć pracę, mieszkanie, kupić samochód.

- Właśnie miałem zapytać, czyje to auto.

- Z Hertza. Płacimy siedemdziesiąt dolarów dziennie.

- Nieciekawie, nieciekawie. Zapisz się na zasilek. Płacą niewiele, ale lepsze to niż nic.

- Pewnie tak zrobię. Nie słyszałeś o jakiejś pracy od zaraz?

- Raczej nie. Jeżdżę tą taryfą, to się nie interesuję. Na rachunki zarobię, a reszta już mnie nie bawi. Za stary jestem, żeby się szarpać.

Tracy wróciła i usiadła na sofie, zakładając nogę na nogę.

- Rozmawiacie po polsku? Mi-łó mi pa-na, pa-nią poz-nać! - uśmiechnęła się zalotnie.

- I beg your pardon - nie zrozumiał Patryk.

- Tracy mówi, że jest jej miło.

- Ach, tak? Tai Shi, uczysz się polskiego?

- Naj-pierw chodź się ko-chać.

- Nie, dziękuję! - roześmiał się Patryk.

- Nie-ma-za-co.

- Brawo, Tai Shi, brawo! Przyda ci się polszczyzna, gdy pojedziesz kiedyś do Polski.

- Bardzo chciałabym pojechać. Jacob mówił, że to piękny i bardzo stary kraj.

Patryk spojrzał na mnie uważnie, po czym powiedział:

- No może nie tak stary jak Chiny, ale na pewno ciekawy, bo inny.

- Tylko że podobno ludzie nie bardzo lubią Azjatów.

- To prawda - odpowiedział po chwili. - Niektórzy nie lubią, ale nie dziw się temu. Ludzie po prostu nie są przyzwyczajeni do obcych twarzy. Ja zresztą także nie miałem łatwego życia, bo nie jestem Polakiem.

- Jak to? - teraz spojrzała na mnie Tracy.

- Moja matka jest pół-Polką, pół-Niemką, ojciec był Ukraińcem. Losy Europy, losy Europy... oćwicone batem kolejnych wojen ojczyźnianych, zajazdów, zaborów, rewolucji, pogromów. Mogłem urodzić się Polakiem, Litwinem, Żydem, Czechem, Niemcem, a nawet Szkotem. Kalabryjskim Włochem czy hiszpańskim Baskiem? Gaskończykiem czy Francuzem?

- W Chinach jest inaczej. Ja na przykład jestem Hokkienką, choć mówię i po mandaryńsku, i po kantońsku. Tylko w domu mówiliśmy po hokkieńsku. Ale w Chinach nikt nie ma wątpliwości, że jest Chińczykiem.

- Pewnie tylko Tybetańczycy. Sądzę, że człowiek jest tym, kim się czuje. Ja czuję się po prostu człowiekiem. Zresztą, czytałem kiedyś książkę astrofizyka Carla Sagana, który wyliczył, że w roku 3000 na Ziemi będzie mieszkało dwadzieścia miliardów ludzi, a w kosmosie siedemset osiemdziesiąt miliardów. Czy będzie miało wtedy jakieś znaczenie, kto jest Chińczykiem, a kto Szwedem?

- To ciekawe - powiedziała Tracy. - Rzeczywiście, gdyby zaczęły się rodzić dzieci tylko mieszane, wkrótce wszyscy bylibyśmy jedną ludzką rasą. Oczy azjatyckie, uszy afrykańskie, nosy europejskie...

- Ona myśli jak Picasso! Napijesz się drinka? - Patryk zwrócił się do mnie.

- Nie piję już.

- Niesamowite! Tai Shi, co uczyniłaś, niemiła kobieto, z moim przyjacielem? Czy ty też nie pijesz?

- Tracy ma alergię.

Wyszedł do kuchni i po chwili przyniósł butelkę wódki, trzy szklanki i pudełko lodu.

- Czy wiecie, że ta wódka jest na wodzie z kanadyjskiego lodowca? Woda zamrożona tysiące lat temu! Czysta jak łąza! Żadnych cywilizacyjnych odpadów. O, proszę bardzo - napełnił szklankę i podsunął ją na skraj ławy, naprzeciwko Tracy.

- Ja naprawdę mam alergię. Robią mi się wypryski na ciele.

- Wypryski, powiadasz, moja panno? - spojrzał na mnie i przesunął szklankę w moją stronę.

- Choć ty jeden nie odmawiaj.

- Zmieniłem się, Patryk.

- Trudno, sam się napiję. Wasze zdrowie!

Siedzieliśmy dobrą godzinę rozmawiając o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu tego minionego roku. Patryk powoli sączył wciąż tę samą porcję wódki. W pewnym momencie Tracy podeszła do pianina i przez chwilę bezładnie naciskała klawisze.

- Gram już całą „Sonatę Księżycową” - oświadczył Patryk zbliżając się do niej.

Ustąpiła mu miejsca i gdy usiadł, rozległy się najczystsze akordy sonaty. Popłynęły dźwięki radosne i młodzieńcze, niczym uśmiech kawalera do kochanki, niczym niedościgłe marzenie, skurcz serca w piersiach - ale kto pamięta tę poezję? Tak cieszyć się potrafią tylko dzieci. Zrazu powolne i łagodne, nabrały rozpędu mknąc pomiędzy sprzętami w pokoju, odbijając się od złotych ram obrazów, wybiegając na łąkę ku rozszalałym łanom traw, pędząc za muszkami, gnając z powiewem wiatru ku dalekim przestworzom, ponad oceanem, ponad skalistymi górami, ponad niezmiernym stepem - do domu, do Starej Europy! Świat cały zabrzmiął nienasyconym czasem, świat cały zawarł się na parę chwil w łagodnym uśmiechu Patryka, w przymkniętych, obecnych w innej przestrzeni oczach, w palcach mknących po klawiaturze. Pokój wypełnił się wiosną, młodością, nadzieją, życiem, życiem tak gorącym i gwałtownym, jak tylko może być życie młode, niezepsute, nieprzegnięte, wciąż dumne, bo nie znające granic, lecz pełne czystej szlachetności. Beztroskie nuty wirowały na nieistniejącej pięciolinii, lecz nieubłagane powracał utracony czas dzieciństwa, zmarnowanych lat, czas zadanego bólu, wyrządzonych krzywd, ucieczki od marzeń, chaosu przegranej szansy.

Patryk urwał melodię w pół tonu, wciąż trzymając palce na klawiszach. Ostatni akord umykał ku ciszy, która na powrót wypełniała pokój.

- Robię zbyt wiele rzeczy naraz - rzekł. - Powinienem skoncentrować się na jednym...

Marnuję tylko czas.

Tracy była urzeczona.

- Naucz mnie, proszę, jak się czyta nuty.

Ucieszył się:

- Ależ proszę bardzo, proszę bardzo! - usunął się z krzesła. - Jakubie, Tai Shi jest niesamowita!

Uśmiechnęła się niewinnie i usiadła przy pianinie. Patryk pochylił się nad nią i rozległo się nieznośne, fałszywe brzdękanie, które z księżycowej sonaty uczyniło koncert wodociągowej rury.

Usiadłem przy stole w jadalni i zacząłem przeglądać gazety, które prenumerował Patryk. Od wielu miesięcy nie czytałem polskiej prasy. Polska jest dla imigranta jak przepiękne marzenie, jak klejnot, który nosi się w sercu i pielęgnuje. Nie jest to obszar na mapie,

ograniczony państwowymi granicami, językiem i narodem, lecz jest to sen, doznanie, pamięć o miejscach i zdarzeniach, o ludziach, wśród których większości z nas przyszło spędzić jedynie wczesną młodość. Po latach sen ów ulega katastroficznemu wyidealizowaniu; pamięć jest wybiórcza i najgłębiej, najmocniej, najpełniej rejestruje doznania przyjemne: ciepło rodzinnego domu, miłość matki, intelekt ojca, który zna odpowiedzi na wszystkie pytania, niepowtarzalną w późniejszym życiu szkolną przyjaźń. Jest to uczucie nostalgii, które pojąć może tylko imigrant; uczucie zeszecone w literaturze, choć najprawdziwsze, jak w „Locie z pajacem”, jak w „Ten za nim”, jak w wielu rozsianych po świecie samotniskach, w których chronią się ci, co do kraju wrócić nie mogą. Po latach sen o ojczyźnie urasta w obsesję; słowo „ojczyzna” nabiera głębokiego, prawdziwego znaczenia, nie jest to gadżet, którym tak chętnie posługują się publiczni krzykacze. Imigranci budują sobie monstrualne pomniki ojczyzny, które często jednak walą się w gruzy.

Szczególnie wizyty w kraju czy nawet cotygodniowa prasówka bezlitośnie burzą to piękne, bo oderwane od realiów wyobrażenie. Tak było po raz pierwszy, gdy przyleciałem do kraju po sześciu latach nieobecności, była to już Polska wolna. Z samolotu ujrzałem szachownicę chłopskich poletek nad Wisłą; był czerwiec, rozkrzyczany kolorami przełom najpiękniejszej w moim życiu wiosny i najpogodniejszego lata. Takich poletek nie widziałem nigdzie poza Polską - pół hektara pszenicy, pół buraków, hektar łąki. Jakaś chałupa w cieniu topoli, traktor bez kabiny, polna drożyna, sosnowy zagajnik, koń ciągnący furę. Łzy napłynęły mi do oczu. Przytuliłem twarz do szyby, żeby lepiej widzieć; żeby więcej łaknąć; żeby nasycić się do woli tym utęsknionym, prawdziwie utęsknionym widokiem skrawka rodzinnej ziemi. Płakałem bezgłośnie i śmiałem się bezgłośnie, że płaczę. Przypadek zgoła psychiatryczny.

Na Okęciu Sodom i Gomora. Tajniak chce mi urwać rękaw, bo przyleciałem z Tajlandii, więc szabrownik. Taksówkarze chcą mnie zawieźć dokądkolwiek, byłem tylko dał dolary - pięciu naraz - to się nazywa zdrowa konkurencja!

Ojciec mój, staruszek, krzyczy, jakby już oszalał:

- Niech się pani uspokoi!
- Torebkę mi porwali!
- To jest walizka syna!
- Ja się domagam sprawiedliwości!
- Poproszę o tabletkę.
- Tu nie apteka!

Cztery lata później przyjechałem do Polski zimą. Znow płaczę, bo ten śnieg bielutki. Przy stoliku w kawiarni siedzą cztery osoby. Trzy rozmawiają przez komórkę i patrzą, czy wszyscy w sali widzą, że przez komórkę. Nie sposób rozmawiać normalnie...

Rozsiadłem się wygodnie, Tracy wciąż brzdąkała, i powiodłem wzrokiem po doniesieniach prasowych. W szpitalu św. Anny w Miechowie pod Kielcami zwariował dyrektor. Zaczął strzelać do swoich pracowników, jeden z pocisków trafił pacjentkę. Dyrektor zeznał policji, która mimo nawału pracy przyjechała, że oddał trzy strzały kontrolowane w sufit na parterze, gdyż pracownicy chcieli „biciem, kopaniem oraz gryzieniem i duszeniem” zmusić go do opuszczenia stanowiska. Jednak strzałami rozproszył „agresorów i zdołał zbiec z gabinetu”.



W Krakowie rowerzysta pogryzł po brzuchu kierowcę autobusu, choć wcale nie był głodny. W Charnowie zwariował osiemnastolatek: porwał niemłodą już kobietę, z którą zabarykadował się w sklepie spożywczym. Niczego nie żądał. Krzyczał tylko przez szparę w drzwiach do policyjnego psychologa: „To wszystko nie ma sensu! Nic mnie już dobrego nie czeka! Nie widzę przyszłości!” Po sześciu godzinach brygada antyterrorystyczna odpaliła przed sklepem ładunek wybuchowy i przypuściła szturm na drzwi, obracając je w drzazgi. „To miły chłopak” - zeznała później porwana. Chłopi w Świecku oblali policjantów gnojówką. W Kleosinie zebrał się kongres księży egzorcystów. Rozpatrywali przypadek pewnego dziwnego rolnika, który nagle zaczął mówić po hebrajsku i podniósł nie tylko konia, ale także załadowany węglem wóz. W Oświęcimiu zawiązał się społeczny komitet, by odświeżyć znak drogowy - Wadowice 31 km. W Popowie ukazała się na szybie Matka Boska. Ludzie pozapalali znicze i spłonął dom.

Zapaliłem papierosa. Patryk wszedł akurat do jadalni.

- Tym nie pisze już we „Wprost”? - zapytałem.

- Wkurwił się.

Patryk opowiedział mi historię „Gromu”, po czym poszedł do swojej sypialni odszukać pożegnalny felieton Tyma, a gdy wrócił, powiedział:

- Wszyscy jesteśmy upaprani w tej parodii państwa. Zrozumiałem to, gdy wyjechałem do Włoch w osiemdziesiątym pierwszym. I później tutaj, w Melbourne... Socjalistyczny spryt!

Mnie także nauczono socjalistycznego sprytu. Byliśmy jak dzikusy. Koledzy w hostelu nauczyli mnie, jak kraść prąd, jak nie płacić za telefon, jak pobierać zasiłek na dwa, trzy, cztery nazwiska. Kolega zabrał mnie w sobotę na pierwsze w życiu normalne zakupy do pełnego pomarańczy, bananów i octu w dziesięciu gatunkach supermarketu i pokazał, jak zaoszczędzić pięćdziesiąt dolarów. Z małych opakowań zrywał naklejki z ceną i przyklejał je na większych; otwierał słoiki z kawą i dosypywał do pełna; wypijał na miejscu najdroższe soki i wyjadał z półek wędzone węgorze, łososie, kraby i nawet importowane z Niemiec śledzie w occie. Wieczorem upijaliśmy się whisky jak lordowie, śmiejąc się w żywe oczy z naiwniaków, którzy za to wszystko płacą ciężkie pieniądze. Czasem chodziliśmy na obiad do restauracji, w której za ustaloną opłatę można było zjeść, ile kto mógł. Wynosiliśmy pełne kieszenie sałatek, mięsa, kiełbas, słodczy. Ile kto mógł. Chcieliśmy być sprytni. Ten kolega stał się z czasem mistrzem: któregoś razu wyniósł z fabryki, w której pracował, drzwi od garażu na dwa samochody. Opowiadano później o tym anegdoty, bo co innego śrubokręt, gwoździe, wiertarka, jakaś głupia wielocalówka, a co innego drzwi od garażu.

Tracy zmęczyła się grą i podeszła do stołu, siadając mi na kolanach.

- Jestem senna.

- Może weźmiesz prysznic? - zaproponował Patryk.

Spojrzała na fotografię wiszącą w złotych ramach na ścianie.

- Skończyłeś studia?

Był to portret Patryka z dyplomem Uniwersytetu Monasha, w towarzystwie Wiesławy i córek. Twarze uśmiechały się do obiektywu, Patryka - z poczuciem satysfakcji, Wiesławy - jak gdyby chciała powiedzieć: „Jestem żoną magistra!”, dziewcząt - z miłością i serdeczną dziecięcą szczerością.

Uśmiechnął się dziwnie zawstydzony.

- Dlaczego pracujesz jako taksówkarz? - zdziwiła się Tracy.

- Jako samotny rodzic dostaję zasiłek. Nie opłaca mi się pracować. Na taksówce dorabiam na czarno. Zresztą zajmuję się Thomasem. Szkoła, lekcje muzyki, karate, golf... Jezus, Maria! Która godzina? Zapomniałem odebrać go z pływalni! Minęła dwunasta! Ach, ta moja pamięć, ta moja pamięć! Przepraszam, zostawię was samych na parę minut. Czujcie się jak w domu.

Chwilę później wskoczył do samochodu i odjechał.

Tracy przeciągnęła się na moich kolanach jak, za przeproszeniem, kotka.

- Czujmy się jak w domu! - szepnęła. - Myślisz, że będziemy mogli zostać tu na jakiś czas?  
- Pewnie, że tak. Patryk mieszkał kiedyś u mnie z córkami, gdy wyrzuciła ich Wiesława.  
- To naprawdę wspaniały człowiek. Bóg dał ci prawdziwego przyjaciela. Szanuj tę przyjaźń.

Patryk nie wracał. Po upływie pół godziny zajechał przed dom samochód i wysiedli z niego dwudziestoletnia Tamara i jej chłopiec Oscar, ów Somalijczyk, z którego czarnej skóry żartowano w Stanicy. Sam Patryk stwierdził kiedyś, że musi się lepiej odżywiać, aby sprawić przyszłemu zięciowi bardziej kaloryczną ucztę. Oscar odpalił, że musiałyby dwa dni Patryka gotować, aby zmiękło tak stare mięso.

Tamara była zaskoczona naszą obecnością. Zmierzyła mnie wzrokiem i przywitała się oschle. Nienawidziła mnie.

- To jest cosz ohydne - powiedziała po polsku swym śpiewnym akcentem. - Ty wiesz, moja koleżanka wszystko powtórzyła Trish, co ja o niej mówiła! A ja miała ją za przyjaciółkę. Well, nobody's perfect .

Odwróciła się i znikła wraz z chłopcem w głębi domu. Tracy spojrzała na mnie pytająco. Opowiedziałem jej, co myślę o tej dziewczynie. Już wcześniej opowiedziałem Tracy o Wiesławie, a Tamara coraz bardziej naśladowała matkę, nie była jeszcze zdegenerowana, bo wciąż była bardzo młoda, lecz już wyraźnie ukształtowana.

Wiesława nie była złą żoną i matką. Wystrój Stanicy był na równi jej i Patryka zasługą. Oboje pobierali zasiłek na siebie i dzieci, Patryk dorabiał, a Wiesława zajmowała się domem. To alkohol spustoszył jej mózg.

Z tego właśnie powodu sąd przyznał opiekę nad dziećmi nie jej, lecz Patrykowi. Zaważyły zeznania Roxany, wówczas czternastoletniej, i Tamary, która krótko przed rozprawą sądową ukończyła osiemnaście lat. Dziewczęta popłakały się na sali, prosząc sędziego, aby nie przyznawał Thomasa matce, gdyż będzie miał on dzieciństwo tak koszmarnie, jak miały one.

Wiesława, trzeźwa czy pijana, na sobotnich imprezach była równie gościnna i serdeczna jak Patryk. Wysławiała się elegancko, powiedzieć by można, z większą wytwornością, niż pozwalała jej na to zubożała w obcym kraju polszczyzna. Czyniło to jej mowę nieco sztuczną, napuszoną, podszytą nieumiejętnie skrywanym fałszem. Usilnie starała się dorównać elokwencją Patrykowi, pewne braki tuszując czytaniem, rozległą wiedzą o pozaziemskich cywilizacjach, numerologii, parapsychologii, o pracach Nostradamusa i Van Danikena.

Piła tylko dobre wino i prawie wszystkie rozmowy sprowadzała do tematu swych dawnych przyjaciół w Polsce: lekarzy, dyrektorów, prezesów, adwokatów, aktorów i aktorek - słowem, śmietanki towarzyskiej w jej rodzinnym mieście. W temacie tym była, jak mówiła, wyjątkowo biegła. Z wyjątkowym polotem wymieniała tytuły, funkcje i nazwiska

przyjaciół, wyjaśniając przy każdym, jakim przed jej wyjazdem z Polski kto jeździł samochodem, czy miał domek szeregowy czy willę, czy też właśnie się budował.

Oczywiście, z ludźmi z bloków nie miała nic wspólnego.

Siedząc przy stole w jadalni wodziła wzrokiem po kieliszkach gości, upewniając się, czy wypada już dolać sobie wina. Byłoby z jej strony nietaktem, gdyby naląła sobie przedwcześnie, zanim opróżniły się wszystkie kieliszki. Ilekroć goście nie nadążali, zwykła mawiać pół żartem, pół serio, wznosząc kolejne toasty:

- Pijmy do dna, cza, cza, cza!

Czasem mówiła:

- Aleluja! Wyszła Zocha za zbója!

Wysuszała wtedy kieliszek, starając się nie umoczyć uszminkowanych ust ani zbyt wysoko nie unieść głowy, w związku z czym z czasem zaczęto w mieście opowiadać, że w kieliszku mieścił się prawie cały jej nos, który pod szkłem, jak pod lupą, wydawał się strasznie ogromny i z którego wystawały upaprane w babach włosy. Odstawiwszy kieliszek, już z wyraźną ulgą sięgała po butelkę, a gdy tej zabrakło, wołała na Patryka, aby przyniósł drugą. Jednakże po kilku kieliszkach stawała się niecierpliwa. Z początku wciąż dyskretnie, lecz z upływem czasu coraz nachalniej wpatrywała się prosto w oczy gości, a zwłaszcza mężczyzn. Było to dla gości sygnałem, że Wiesława wkrótce dostanie kota.

I dostawała. Pierwszym objawem było to, że napełniając kieliszek przelewała menisk, po czym serdecznie przepraszała, śmiała się i ustami skręconymi w trąbkę spijała nadmiar, aby się przypadkiem nie wylało. Patryk podawał jej wtedy papierową chusteczkę, którą starannie wycierała usta i stół oraz palce, odkładała ją na bok i sięgała po kieliszek, aby go elegancko łyknąć, uzupełnić i ponownie łyknąć. Gdy zaś wina zabrakło, ze wstrętem na twarzy piła whisky z coca colą, wódkę z cytryną, brandy z lemoniadą i nawet australijskie piwo, którego smaku wprost nie cierpiała, gdyż piwo to trunek dla robotniczej hołoty. Strzelała wtedy oczami na mężczyzn chcąc im się przypodobać, a najbardziej chciała podobać się Staszкови. Lubiła Staszka. Staszek był wesoły. Staszek poszedł kiedyś o zakład, że podniesie w zębach Borysa.

- Za ogon? - nie mogła uwierzyć. - Tak blisko odbytnicy?

- Za szyję, za szyję, ty moja przepióreczko.

Poszli na podwórze i Staszek zakład wygrał, bo miał mocne zęby, a Borysa wcześniej ktoś upił. Wiesława nie mogła wyjść z podziwu. Z uwagi na koszty i ból leczenia miała osiem, góra dziewięć zębów z przodu i kilka w głębi brązowych trzonowych.

Pewnego razu malec jakiś, jedno z dzieci przybyłych na imprezę z rodzicami, przyglądał się jej dłuższy czas, po czym podszedł do swej matki i głośno zapytał:

- Dlaczego pani Wiesia ma końską szufladę?

Powstała chwila konsternacji. Ktoś parsknął śmiechem. Matka skarciła malca:

- A gdzie ty, dziecko, konia widziałeś? Już, zmykaj do zabawek.

Wiesława zarumieniła się ze wstydu i złości. Wiedziała, że wszyscy wiedzą o fatalnym stanie jej uzębienia, lecz był to afront ze strony smarkacza, którego nie umiała wychować rodzona matka. Doszło do ostrej wymiany słów, która przerodziła się w awanturę i o mało nie doszło do rękoczynów. Wiesława jednak opamiętała się w porę i wyprosiła koleżankę z domu, krzycząc, że za chwilę nie wytrzyma i da jej w papę.

Zamroczone alkoholem stawała się nie tyle godna współczucia, bo ostatecznie nikt z nas nie patrzył wystarczająco trzeźwo, by współczuć - co nader obrzydliwa. Alkohol brutalnie zrywał z jej twarzy maskę słodkiego fałszu. Wzbierała w niej złość za nieudane lata małżeństwa, za niespełnione ambicje, za niepowodzenia Patryka, w którym dwadzieścia lat temu widziała przyszłego wielkiego malarza, a który skończył jako zwykły taksówkarz,

prawie jak fabryczny robociarz. Pragnęła być żoną artysty o międzynarodowej sławie, pragnęła gościć w domu cyganerię artystyczną już nie tylko rodzinnego miasta, lecz świata całego - gościła zaś najgorszą, jak twierdziła, żulię.

Straciwszy nadzieję na sukces artystyczny Patryka, zaczęła ją pokładać w córkach i szczególnie w synku. Lecz tak jak zabijała radość w mężu, jak niszczyła w nim wszelki potencjał tworzenia, poczucie własnej wartości, aspiracje i samozadowolenie z drobnych osiągnięć, tak samo destrukcyjnie wpływała na dzieci, siejąc całymi dniami swe nieograniczone roszczenia, pretensje i coraz bardziej absurdalne żądania.

Któregoś razu, podczas kolejnego sobotniego spotkania, zwróciła uwagę przechodzącej obok Tamarze, że porusza się ona jak kaczką. Tamara, która rzeczywiście nie miała figury modelki, wybiegła z pokoju ze łzami w oczach. Młodszej córce, gdy pewnego dnia wyczuła od niej zapach alkoholu, zarzuciła, że chleje ona robotnicze piwsko jak ta ostatnia chlaczka. Roxana uciekła na kilka dni z domu.

Tamara nienawdziła mnie jednak nie dlatego, że jak wszyscy uczestniczyłem w pijackich imprezach w Stanicy, lecz ponieważ miałem mózg wyniszczony alkoholem tak doszczętnie, jak miała jej matka. Tamara nienawdziła alkoholików, a szczególnie mnie, lecz bynajmniej nie od samego początku.

Którejś niedzieli, gdy obudziłem się w południe, wciąż na pół pijany, w Stanicy nie było nikogo. Cisza jak makiem zasiał. Oczywiście najpierw, o czym wie każdy pijak, kierunek łazienka, a wprost z łazienki - lodówka. Żółty nektar chłodził rozpalone gardło, ulga tak błoga, że kto nie pije na umór do bladego świtu, ten nigdy się nie dowie, jak czysty staje się umysł po pierwszej butelce, jak życie nabiera barw, jak lekka staje się człowiecza dusza. Odstawiłem butelkę i rozejrzałem się po kredensie za moim pudełkiem z tytoniem i maszynką do kręcenia papierosów. Kręciliśmy w Stanicy wszyscy i kręcąc dumni byliśmy, że tak tanio kręcimy. Pudełek i maszynek leżała cała masa, lecz moich nie mogłem znaleźć. Wszedłem do pokoju i stanąłem jak zamurowany.

Na fotelu siedziała Tamara malując czerwonym lakierem paznokcie u stóp. Uśmiechnęła się uroczo. Miała na sobie trykotową koszulkę i krótką spódniczkę; podbródek opierała na kolanie. Nie sposób było nie zauważyć białego paska majtek.

- Nikogo nie ma? - spytałem zbliżając się do fotela.

Nie przerywając malowania odpowiedziała:

- Pojechali do kościoła, a mama jeszcze śpi.

Usiadłem naprzeciwko i sięgnąłem po ukręconego papierosa, który leżał na ławie obok popielniczki. Był zalany coca colą, lecz zdążył wyschnąć. Tamara poprawiła wygodniej podbródek na kolanie.

- Podoba ci się czerwony kolor paznokci? - zapytała nie patrząc na mnie.

Zrobił mi się namiot. Rozmowa szybko potoczyła się w jedynym możliwym kierunku.

Tamarze imponował starszy facet, mnie imponowała lolita. Poprosiła, abym nikomu o tym nie mówił. Nie chciała sprawić przykrości Ronaldowi, swemu ówczesnemu chłopcu. Jednak w tym momencie w drzwiach stanęła Wiesława i wybuchł skandal. Wiesława zabroniła mi wstępu do Stanicy. Wkrótce jednak Wiesławę przyłapał Patryk i wraz z córkami wprowadził się tymczasowo do mojego domu. Tamara zaprzeczyła, jakoby miała wobec mnie potajemne zamiary, zaprzeczyłem i ja. Patryk krzychał:

- Znalazłem kalendarz tej dziwki! W ciągu tygodnia miała więcej stosunków z tym bydlakiem niż ze mną w ciągu roku. I jeszcze córkę, rodzoną córkę posądza o takie świństwa!

Tracy znała tylko połowę prawdy. Liczyłem na to, że nigdy nie dowie się reszty, że się zmienię nie pijąc, że znów zacznę kochać, że przeszłość zostanie mi w końcu wybaczona. Że zapomnę...

Patryk wrócił około godziny pierwszej. Przywiózł z pływalni Thomasa, a także Roxanę, którą spotkał idącą do domu ze stacji kolejki.

- Pora na obiad - zarządził. - Przepraszam, że nie było mnie tak długo, lecz tyle spraw mam na głowie...

Roxana i Tracy nakryły do stołu, Thomas usiadł przed telewizorem i grał na playstation, Patryk stanął przy piecu w kuchni. Ja wróciłem do przeglądania gazet, lecz pochłonięty myślami o tamtym odległym czasie, który teraz tak nagle powrócił, nie rozumiałem czytanych słów.

Kim właściwie jestem? Jestem ludzką szmatą. Minęło czternaście miesięcy i dziewięć dni. Ostatni raz upiłem się, przy tym właśnie stole, w przeddzień wyjazdu z Melbourne. Pierwsze tygodnie na Gold Coast były trudne. Potem zapomniałem, jak przyjemnie jest przytknąć usta do szyjki, jak oddalają się troski, jak powraca radość życia i przeświadczenie, że życie należy wypełnić najgłębszym sensem.

W Melbourne wypełniałem. Zamykałem się w pokoju w naszym domu w Footscray, aby nie widziały mnie dzieci. W szafie pędziłem piwo z zacieru po dwadzieścia pięć centów butelka, aby taniej się upić. Upijałem się wieczorami i zdawało mi się, że jestem silny, że mogę nie pić, gdy tylko zechcę. Myśl ta dodawała mi skrzydeł; szedłem do kuchni, by oświadczyć to Marii.

- Widzisz, że dzisiaj nie jestem pijany? Widzisz, że myśl ta dodaje mi skrzydeł? Widzisz, że się zmieniłem? Że jestem silny?

Nie wierzyła. Powtarzała uparcie, że jestem alkoholikiem. Szedłem do łazienki, by przyjrzeć się sobie w lustrze. Obrzydliwa twarz! Obrzydliwy oddech na kłamiwym szkle. Samonienawiść! Wstręt! Człowiek musi cenić własną wartość, choćby miał jej tylko tyle, co na dnie butelki.

Stojąc przy lustrze miewałem urojenia. Czasem, gdy śpiewałem do tubki z pastą do zębów, zdawało mi się, że mam głos tak piękny jak Michael Jackson! „Heal the world” - rozbrzmiewał najwyższy z tonów. „Heal the world”, szalała publiczność, „Heal the world”, nie milkły brawa. Tanecznym krokiem zapraszałem Marię, by zapowiadała do mikrofonu moje kolejne przeboje. Wraz z widownią krzyczała:

- Bis, bis, bis!

Krzyczała i miała w oczach łzy radości. Cieszyły się też dzieci i wraz ze mną śpiewały „Maszerujące mrówki”.

- Tatuś kocha nas dzisiaj! Tatuś nie musi tak ciężko pracować w swoim pokoju!

Kiedyś, już na Gold Coast, zapytała mnie córka:

- Dlaczego nie pijesz już piwa? Piwo jest smaczne jak coca cola.

Nie odpowiedziałem.

Patryk wówczas o tym nie wiedział. Patryk sądził, że piję, tak jak wszyscy nasi przyjaciele, umiarkowanie - w sobotę, w niedzielę, w środku tygodnia najwyżej jeden wieczór. Nikt nie wiedział. Nikt nie wiedział, gdzie leży granica pomiędzy towarzyską kulturą a zwyrodnieniem umysłu.

Raz, na Gold Coast, zapytałem Marię:

- Dlaczego nie odeszłaś wtedy, gdy tak bardzo piłem?

- Bałam się o ciebie. Bałam się, że skończysz na ulicy jak ostatni łachmaniarz.

- Dlaczego więc odchodzisz teraz?  
Nie odpowiedziała. Odeszła.

Dosięgnąłem dna najmarniejszej egzystencji, gdzie nie ma już niczego poza ciężarem winy i wyrzutami sumienia za wszystkie krzywdy, które wyrządziłem najbliższym i za to, czego nie zrobiłem, a powinienem był zrobić. Nauczyć dzieci, jak być przyzwoitym człowiekiem? Jak żyć w zgodzie ze światem, z ludźmi, z sobą samym? Być im przykładem, jak przykładem jest dla dzieci ukochany ojciec?

Ostatniego dnia odwiozłem je do szkoły wcześniej niż zwykle. Córka zarzuciła tornister na plecy, po czym uwiesiła mi się na szyi i wyszeptwała:

- Tatusiu, ja cię tak bardzo kocham... - resztę słów zagłuszyło łkanie tak żałosne, jakiego nigdy wcześniej ani później nie słyszałem... Syn po prostu uciekł, kryjąc swój żal w zabawie z kolegami przed pierwszym dzwonkiem. Długo stałem przy szkolnej furtce, za którą znikła moja przeszłość. A przecież już wtedy nie piłem... Dlaczego? Nie rozumiałem, dlaczego!

Tracy ustawiła na stole ogromny świecznik. Patryk przyniósł z kuchni butelkę i dwie szklanki.

- Piwo ci nie zaszkodzi. Wypijmy za zdrowie Tai Shi! Za waszą wspólną przyszłość!  
Nastało długie, bardzo długie milczenie. Zamiast sięgnąć po szklankę, zamiast wymówić się raz jeszcze, zerknąłem na autoportret van Gogha z podpisem „Patryk”, na chińskie schronisko czy raczej ptasie gniazdo. Tracy spojrzała na zegarek. Patryk stał z wyciągniętą ręką.